

<<<<<<<<<<<<<<<<<

>>><<<<

W kuchni panował istny rwetes i podekscytowanie. Jedynie Mai milczała, mnąc w niepewności fartuszek i Barry, łypiący na nią dyskretnie. Gdy James wszedł, zamilkli wyczekująco, w zniecierpliwieniu oczekując postanowień. Albo wyroku. Albo nadziei.

— Wychodzi na to, że całe to zajście jest zwykłym nieporozumieniem... — Oburzenie było tak głośne, że musiał przerwać i ich uciszyć. — Tak będzie lepiej dla domu, a przynajmniej oni tak sądzą, a ja ich rozumiem i w tym popieram...

— A Hartley?! Ta menda...! I Mickey?! I John?! — Nie było mowy o podzielonych zdaniach, wszyscy uważali tamtych za kanalie. Gwar niezadowolenia się wzmaczał.

— Więc po co on tutaj przyszedł? — uciszyła wszystkich, spokojnym pytaniem Mai.

— Do pani, z wiadomością od jej męża. — James publicznie wołał być oficjalny.

— To się nie utrzyma! — uważała większość. I mieli rację, a to nie było dobre dla Mai. Ani dla domu.

James miał zrobić porządek, a właśnie zdawał sobie sprawę, że wyszedł mu niezły bajzel. I nieważne, że to nie on był tym złym.

>>><<<<

Barry musiał wracać, a widać było na pierwszy rzut oka, że nie chciał. Jamesowi zaczął się w związku z tym kołatać po głowie pewien pomysł.

Do jego realizacji potrzebował jednak nie tylko własnej woli i zgody Barry'ego, ale hrabiny Nathley i wszystkich innych splotów bądź wymuszeń okoliczności, w tym pozostawienia na posadzie Mai. Na tym zresztą najbardziej mu zależało, gdyż jej obraz, przybitej i zrezygnowanej, go najzwyczajniej przesładował i intrygował. Skrywała jakąś tajemnicę, bała się jej, a on chciał wiedzieć: jaką i dlaczego?

>>><<<<

Baronowa z baronetem wyjechali z pałacu po godzinie. Przy czym kobieta wyglądała zwyczajnie, jak zawsze niezadowolona ze wszystkiego, a jej towarzysz z kolei, nieszczególnie ukontentowany ustaleniami. James pomyślał, że może i nie Australia, lecz baronet jakieś konsekwencje poniesie. Do gabinetu wezwano go zaraz później.

Niczego się nie dowiedział. Powtórzono mu tylko to, co sugerowała baronowa i co wypowiedział on sam w kuchni, a chciano zasięgnąć jego rady na temat potraktowania współników baroneta.

— John z referencjami, chociaż ja bym mu swego dzieciaka nie powierzył. Pozostałych dwóch wywalić na zbity pysk! — Niemal zasionął nienawiścią. — Zrobią zaś panie, jak uważają za słuszne.

— A Mai?

— Jeśli wyrzuci pani Mai, hrabino — odpowiadał Kirze. — Zrobi pani dokładnie to, po co ta łachudra Barton tutaj przychodziła...!

>>><<<<

Barry odjechał. Bez wiedzy, dotyczącej statusu Mai i niepokieszony. James jednak poinformował go, że w majątku jest wakat dla koniuszego i że jak tylko sytuacja się wyklaruje, ma się go w Five spodziewać z propozycją. Albo i bez a za to jego samego, z zamieszkaniem w stadninie.

— Na jesień odprowadzam konie i zostaję już w kawalerii — odparł Barry.

— Jeżeli Mai zostanie w tym domu, to mnie nie rozśmieszaj — odpowiedział mu James. — Za mało jeździłem konno. Ty uczyć mnie będziesz koni, a ja ciebie władania bronią.

— Umiem szablą.

— Może i umiesz — zgodził się James, nie chcąc się zbytnio puszyć. — Ale trening z kimś, kto walczył i zabijał, może ci się przydać.

Barry się zgodził z tym zdaniem i tylko coś mruknął o Mai, żeby James nie wymyślał głupot, bo ta jest mężatką.

— Jak ci będzie przychylna na zabój, to zabijemy obwiesia — zapewnił James tak naturalnie, że Barry przez całą drogę się zastanawiał, czy aby nie mówił poważnie i jest przy zdrowych zmysłach.

>>><<<<

Rano okazało się, że dom jednak wyszedł zwycięsko z batalii. Tyle że najważniejszym w tym punktem nie było wywalenie z roboty trójki nielojalnych pracowników, czy pozostawienie, ciągle niewiele mówiącej Mai na posadzie. Rzeczywistą wygraną były decyzje Kiry, w stu procentach poparte przez Natalie. James zaproponował w związku z tym, żeby zatrudniono Barry'ego Whatesa. Odpowiedziała Natalie.

— Pracę dla mnie zakończyłeś — oznajmiła. — Majątek Five obejmiesz oficjalnie w styczniu...?

Potwierdził skinieniem głowy. Wprawdzie przypuszczał, że może ten objąć w każdej chwili, gdyż posiadał stosowne uprawnienia, jednak całkowitą pewność mogła przynieść dopiero odpowiedź kanclerza, na zaistniałe w stadninie wydarzenia.

— Potrzebuję kogoś do pokierowania domem — wtrąciła się Kira. James zrozumiał.

— Mam być majordomusem...?! — Nie uważał stanowiska za degradację, ale odebrał propozycję jako zrównanie go z kimś pokroju Hartleya.

— Jeżeli taki tytuł cię denerwuje... — zaczęła Natalie. Kira szybko jednak to sprostowała.

— Majordomus to za mało. Chcę, żebyś miał pieczę nad domem, jako całością, a nawet pomógł mi w relacjach z dzierżawcami — wyjaśniała. — Z kilkoma z nich mamy wspólne interesy, a Jenny odkryła kilka spraw, co do których mamy pewne zastrzeżenia...

— Nie ma pani zarządcy?

— Nie mam — odpowiedziała. — Widzisz, James, taki ktoś nie był nam potrzebny, gdyż nasze działania polegały wyłącznie na dzierżawieniu gruntów, a potem... — Uśmiechnęła się przeprasząco. — Cóż, nudziłam się... Żadna ze mnie hrabina...

— Jesteś doskonałą hrabiną! — zaprotestowała oburzona Natalie. — Nie mogłam sobie wymarzyć lepszej!

— Po co więc ja? — James, widząc reakcję Kiry na słowa Natalie, nie chciał być świadkiem tkliwych sytuacji.

— Masz p e w n ą opinię i gdy rozniesie się, że pomagasz mi w zarządzaniu...

— No, wie pani, hrabino...?! — udał idealnie oburzenie. Nie dały się zwieść.

— Potrafisz sobie poradzić i bez obijania ludzi trzonkami — zauważyła Kira. — I nie będziesz pracą znudzony... Korzyści są obopólne.

— Zgoda! — Ani myślał się krygować. — Ale zamierzam przygotowywać się na wszelki wypadek do kariery wojskowej i potrzebny mi tutaj Barry Whates...? — Obie wyraziły zgodę gestami. — Czasami będę także zaglądał do Five...

— I przyjmiesz nowych pracowników na miejsca starych — wpadła mu w słowo Kira.

Pokręcił przecząco głową.

— Pani ich przyjmie. — Był nadzwyczaj jak na siebie poważny. — Mogę wyrażać swoje zdanie, ale tego na moje barki zwać pani nie wolno — i natychmiast, żeby zawstydzenie hrabiny nie okazało się zbyt czytelne, wesoło dorzucił: — Po koniuszego wybiorę się samodzielnie i jeszcze dziś.

>>><<<<

Wyjechał godzinę później, oświadczając przedtem w kuchni, że w domu nic się na razie nie zmienia. Mai pozostaje na posadzie, Marc będzie przyuczany do zawodu majordomusa, a Lola niech się obudzi w końcu, bo zamieni jej rolę w domu z rolą Suzi.

Już po dojechaniu do karczmy, która konno znajdowała się w odległości dziesięciu minut drogi, przypomniał sobie o niewydaniu dyspozycji, dotyczącej umieszczenia w jego pokoju drugiego łóżka. Pomieszczenie było wystarczająco obszerne, aby koniuszy nie musiał szukać lokum poza pałacem, czy też zamieszkać w stajni. Zawrócił więc, a że zaschło mu w gardle, wstąpił do kuchni.

Zastał jedynie kucharkę, a gdy zapytał o inne, odpowiedziało mu wzruszenie ramionami. Tknięty nagłym przeczuciem, udał się prosto do siebie.

Przy drzwiach zastał śpiącą królowną, na której obliczu objawiło się przerażenie. Podeszedł do niej, struchlałej i zajrzał do środka. Mai, która spostrzegła wyraz twarzy Loli, stała teraz na baczność z nie mniejszym przestraszaniem na twarzy, ręce trzymając za plecami.

James wepchnął Lolę do środka i zamykając drzwi, rzucił okiem na swoją otwartą walizeczkę. Spojrzał wymownie na Mai.

— To, co chowasz za plecami, raczej nie nadaje się do zabawy — poinformował.

Ostrożnie wysunęła ręce do przodu i patrząc na niego z pomieszaniem złości, zawstydzenia i przestachu, odłożyła sztylet Rudobrodego do walizeczki. James wskazał dziewczynom łóżko, samemu siadając na krześle.

— Zanim porozmawiamy o tym z Hrabinią... A porozmawiamy! — zapewnił, pomimo ich błagalnych spojrzeń. — Sam chciałbym się dowiedzieć, co wy, do cholery, wyprawiacie...?! — Milczały, więc zaczął wstawać. — Jak sobie chcecie...

— Panie James! — zatrzymywała go Lola. — Proszę, nie! To tylko...!

— I tak nas wyrzuci! — przerwała jej błaganie Mai. — Tylko czekał na pretekst! Od samego początku! — Zdumiała go swoim rozżaleniem. Do tego stopnia, że aż oklapł na krzesło i rozparłszy się na nim wygodnie, nie przerywał. — Od początku! Od samego początku, chce rządzić w tym domu...! A panu nowemu majordomusowi, nie podoba się cała służba! — zawołała z goryczą. — Wszystkich wywalisz?! — Zadygotała, hamując łkanie, podczas gdy Lola, pociągnięta absurdalnymi oskarżeniami, pochlipywała już w najlepsze. — Taki ułożony! Taki pomocny dla domu...! Biedna Suzi...! — zacięła się, po czym zakończyła, krzycząc: — Wszyscy jesteśmy biedni! Wiesz?! Wszyscy, James...!

— No coś ty? — zaprotestował beztrosko. — Ja nie...

— I jeszcze sobie kpi! — wrzasnęła, by zaraz się rozbeczeć.

James cierpliwie odczekał, dopóki się choć trochę nie uspokoją.

— Ciągłe nie wyjaśniłyście mi, co tutaj robiliście?! — zauważył oschle.

— Byłyśmy ciekawe... — Mai wytarła rękawem nos, wzbudzając w nim stłumioną wesołość. Dziewczyna zwykle sprawiała wrażenie szczytu wdzięku i elegancji. Posiadała zresztą te cechy, jako naturalny dar. — Jesteś dziwny. Tajemniczy marynarz nie wiadomo skąd... I przyjechałeś z Londynu... — Przyglądała mu się badawczo spod rzęs. — Chciałam się dowiedzieć i Lola niczemu tu nie jest winna — zapewniała. — Ta walizeczka... Taka stara... Taka zniszczona... No wiesz...?

— Chyba byłem dosyć lubiany w sierocińcu — rzucił. — Gdy odchodziłem, dali mi najlepszą, jaką mieli... — Widywał przedtem rumieńce na twarzach. Ale takich jak u tych dziewcząt jeszcze nigdy. Patrzyły na niego zalęknione i purpurowe od upokorzenia. Pomyślał, że uczucia się w nich malujące, są szczere.

— O Boże, James! Wybacz! — Mai załamywała ręce. — Przepraszam...! — Lola nie była w stanie wykrztusić słowa. — Ale ten sztylet...?! Do czego ci on...?! I ta podwiązka...?! — zaatakowała, patrząc znowu spod oka, próbując oceniać sytuację. Napotykając jednak jego kpiące spojrzenie, zamilkła.

— Sztylet jest pamiątką i nie służy do czynności kuchennych — odpowiedział. — Z tego, co mi wiadomo, spenetrował kilka... Hmm, przyszłych zwłok... — Nie czerpał satysfakcji z ich twarzy, obleczonych w zgrozę. — A dostałem go na pamiątkę — prawie nie skłamał.

— A ta... Podwiązka...?! — Mai popatrzyła na niego ze smutkiem i żalnością.

— Historyjka, tak jakby, ciut romantyczna.

— A ona...? Ta dziewczyna...? Boże kochany! Tym sztyletem...?! — Obie wyglądały na rzeczywiście przejęte. Postanowił, że nieco nagnie fakty.

— Podobno posłużył jako wytrych, żeby wejść do pewnej sypialni...

— I zginęła...?!

— Kiedy już odchodziłem, miała się całkiem dobrze — palnął zniecierpliwiony, dodając już tonem nieprzyjaznym. — A wy jesteście wścibskimi babskami!

— Może i tak... — Mai wstała, odważnie patrząc mu w twarz. — Ale chyba nie umywamy się do ciebie...?

— Podarowała mi ją na pamiątkę pewna dama... — Mai aż zbladła z przerażenia, gdy na swoją kpinę, otrzymała spojrzenie pełne pogardy, zmieszanej z wręcz nienawiścią. — A że ja wam w majtkach nie grzebię i nie zamierzam, nie życzę sobie wchodzenia do mego pokoju! — I nagle się zaśmiał. — Lola, wynocha do roboty! A ty, Mai, za swoje wścibstwo, jak już wrócę z Five, wypowiadasz mi się dogłębniej ze swoich grzeszków! — Uniósł groźnie palec, gdy chciała zaprotestować. — A gdy jeszcze raz usłyszę insynuację, że mam coś wspólnego z twoim mężusiem...! — nie dokończył. — Wynocha mi stąd...!

Dziewczyny podeszły do drzwi. Mai się na chwilę zatrzymała.

— Jesteś dziwny, James... Czy nie powinienes nosić tego... No wiesz... Przy sobie, czy coś...?

James sięgnął po sztylet. Ujął go za ostrze i przytknął twarz, do oplatającej rękojeść podwiązki.

— Nie, Mai — odpowiedział, nabierając nosem powietrza. — Ja uważam, że nie...

>>><<<<

George Whates nie tylko nie miał nic przeciwko, ale był wręcz szczęśliwy, że Barry do wojska nie idzie, a James nie miał sumienia wyprowadzać go z błędu stwierdzeniem, że do tego będą obaj się z Barrym przygotowywać.

Koniuszy się pakował, a on wpadł na chwilę do dworku, gdzie ciągle jeszcze oczekiwano, zapowiedzianej przez Jamesa decyzji kanclerza, dotyczącej Magnusa Terbreeka.

Przywitał się zdawkowo, zapowiedział systematyczne odwiedziny, pożyczył im zdrowia i po wypiciu herbaty, zabrał do odjazdu. Przed wyjściem, zatrzymała go na chwilę pani Princer.

— Zawsze pan rejteruje przy pierwszej przeszkodzie? — zapytała cicho. Nie odpowiedział, zatkało go.

Do domu Whatesów musiał się przespacerować obok konia, żeby jakoś pozbierać myśli, zdominowane natychmiast poszukiwaniami sposobów i miejsc na schadzkę, a gdy doszedł, Barry już czekał na koniu. W jego skromnym dobytku dominował jeden, błyszczący przedmiot.

— Co to właściwie jest? — James wskazał wielką, dziwacznie pokręconą, chyba-trąbę.

— Moja konstrukcja — odparł Barry z dumą, lekko zakłopotany. — Jeszcze jej nie nazwałem... Myślę o pewnej dziewczynie. Może nazwę to jej imieniem...?

— Powiesz mi, jakim?

— No właśnie... Nie do końca pamiętam... — Barry łął jak najęty, a James doskonale o tym wiedział.

— A chociaż, co-kol-wiek pamiętasz? — zakpił.

— No, wiesz...

— To nazwij to sexy. Sexy coś tam... Fansex albo coś takiego...

— Zwariowałeś!? — Barry zaczął się śmiać. — Że niby jestem miłośnikiem seksu?! Dziewczyny nie dadzą mi żyć...!

— To jakoś zniekształcić odrobinę... Wymyśl coś...

I Barry wymyślił. Jakoś tak po tygodniu.

— Sakso-fan! — oznajmił z dumą. — Ale bez myślnika! — O drugiej nad ranem. Wrzeszcząc radośnie i zaraz ponownie zasypiając.

>>><<<<

Wstąpili do karczmy na obiad, gdzie James uzupełnił zapasy cygaretek i wina, i usłyszał podziękowania z przeprosinami od Lulu. Ponownie też ujrzał właścicielkę złotej koronki i znów dowiedział się, tym razem od Gordona, żeby się trzymał od tych ludzi z daleka. Posłuchał i trzymał się więc, ale nie odwrócił wzroku, nawet pomimo wyraźne „zabójczego” spojrzenia jednego z pięciu towarzyszy kobiety, traktowanej przez otoczenie z wyraźną atencją.

Karczmarz zaraz do tamtych dołączył, a James doczekał się od nieznajomej jedynie przelotnego obrzucenia go wzrokiem, oznajmającego mu, że jest nieistotnym pyłkiem, widzianym po raz pierwszy na oczy.

Kiedy Barry, już w drodze powrotnej, zaczął zwyczajnie chichotać z jego zamysłonej postawy, James poczuł się tym wszystkim dotknięty.

— Z czego rżysz? — warknął.

— Nie masz gdzie wsadzać oczu? — Barry się śmiał, ale wyglądał na zaskoczonego. — Nie wiesz, kto to?

— Ależ wiem! — zawołał James. — Pani nazywa się: „Nie dla psa kielbasa” i „Trzymaj się od niej z daleka”.

— Jezu! — Barry nie dowierzał. — Ty jej naprawdę nie znasz! Ale te imiona, które wypowiedziałeś, do niej pasują... — Barry czekał na pytania, ale James potrafił być cierpliwy, mówił więc dalej: — Rebecca Daren, nieoficjalna królowa przemytników... — Popatrzył na towarzysza, próbując odgadnąć, jakie ta

